

*Henryk Stabek*  
*Warszawa*

## **Intelektualiści i Wielki Strach (na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych)**

Niektórzy publicyści i naukowcy — podjęli się obrony intelektualistów (czyli w wypadku osób starszych i samych siebie), którzy współdziałali z władzą przed 1956 r. Jeśli inteligenci robili coś również po myśli komunistów (pisali książki, malowali obrazy, komponowali symfonie) — twierdzono — to w żadnym razie nie czynili tego z przekonania, lecz obojętnie ze strachu, bo panowały przecież totalitaryzm, okrutny terror, więzienia. „Winien więc być wszystkiemu system” — dodawali niektórzy, nie kryjąc intencji. I po problemie.

Efektowna antycypacja okazywała się jednak zawodna i niewdzięczna. Owszem, przejawy nawet najcięższych prześladowań były powszechne (np. we wsiach zapędzanych do kołchozów), ale nie w środowisku intelektualistów. Oczywiście intelektualiści nie byli wyizolowaną społecznością, ogólny bieg spraw w państwie wpływał również na ich nastroje i zachowania. Niemniej raczej niewątpliwa, choć ignorowana, jest specyfika, którą chcemy tu podkreślić.

Z autobiograficznych dokumentów samych pisarzy i uczonych, bo o nich będzie tutaj mowa, zdaje się wynikać, że w ich wypadku występował Strach (pisany wielką literą), bo był to strach odmienny, specyficzny. Niedostrzeżenie czy ukrywanie tego, co przydarzało się osobliwym zresztą obrońcom intelektualistów, może sprzyjać nowym mitom. W omawianym okresie skazywano, również na śmierć, niewinnych ludzi. Cena strachu była wyjątkowa - ani wcześniej, ani później nie znana. Podobne zagrożenia nie dotyczyły na szczęście intelektualistów, z wyjątkiem części tych, którzy uczestniczyli w ruchu oporu<sup>1</sup>. Spadały na uczonych dolegliwości za głoszone poglądy, co było rzeczą karygodną. Równocześnie z tego właśnie powodu spośród profesorów bodaj nikogo nie aresztowano, a zapewne tylko pojedyncze osoby pozbawiono etatu<sup>2</sup>. Realna kara i ryzyko to odsunięcie od określonych lub i wszelkich zajęć dydaktycznych. Możemy wymienić dziesięć takich osób (prof. Sergiusz Hessen, Kazimierz Ajdukiewicz, Jan Bystroń, Jan Czekanowski, Edward Taylor, Henryk Elzenberg, Stanisław Ossowski, Roman Ingarden, Władysław Tatarkiewicz, Stanisław Kuczyński, Wincenty Styś, Andrzej Mycielski, Konrad Górski, Ludwik Kolankowski, Władysław Konopczyński, Józef Kostrzewski, Janina Kotarbińska). Były i inne, ale ich łączna liczba nie przekraczała zapewne trzydziestu, może czterdziestu (rzecz wymaga szczegółowych ustaleń)<sup>3</sup>.

Odsunięcie od nauczania, pozostając krzywdzącą, niezawinioną represją, nie zawsze oznaczało wyeliminowania represjonowanych z prac zespołów naukowo-badawczych. Bywało i tak, że uczony, zyskując wolny czas, z większym efektem koncentrował się na wykonywaniu prac ściśle naukowych<sup>4</sup>.

Osobliwą sytuację ludzi spoza nauk społecznych i humanistycznych, również tych o złym pochodzeniu i przeszłości, chyba dość dobrze zdają się obrazować pamiętniki Jana Ernsta i, szczególnie, Jana Podoskiego.

Jan Podoski pochodził z ziemiańskiego rodu osiadłego na Ukrainie. Wszelki majątek przepadł w czasie rosyjskiej rewolucji. Lecz Jan nie zaznał biedy; ojciec był wybitnym inżynierem, później profesorem, a matka lekarką. W okresie międzywojnia rodzina dorobiła się kamienicy w Warszawie.

Jan Podoski po powrocie z Anglii, gdzie dał się poznać jako zdolny inżynier, podejmował się różnych prac, także na Politechnice Warszawskiej. Następnie, aresztowany i skazany na osiem lat, od końca 1949 do 1954 r. odbywał w ciężkich warunkach karę więzienia. W połowie 1954 r. został przeniesiony do więziennego Biura Architektoniczno-Konstrukcyjnego (BAK-u). Tutaj miał zarobek, książki, prasę, względną wolność korespondencji, wolne niedziele i pół soboty, cotygodniowe widzenia. Pod koniec tego roku urlopowano go z więzienia. Początki — wspomina Podoski — nie były łatwe. Partia i tzw. czynniki wciąż pamiętały, że był on „tylko wypuszczonym na wolność wrogiem ustroju”. Był angażowany przez różne instytucje, ale tylko do prac dorywczych i pomocniczych. Zdarzył się wszak ważny wyjątek. Politechnika — pisze pamiętnikarz — „nie zlekka się zwolnionego przestępcy” i niemal natychmiast otrzymał zlecenie prowadzenia wykładów i zajęć po swoim ojcu.

W 1956 r., kiedy Podoski nie przejawiał zainteresowania dla propozycji nadania mu tytułu docenta, władze uczelni wystąpiły z wnioskiem o profesurę. Nie bez nuty zdziwienia i z satysfakcją Podoski relacjonował: „Nie upłynęły dwa lata od opuszczenia murów więziennych, kiedy przewodniczący Rady Państwa mianował mnie - byłego szpiega i zamachowca - profesorem w mojej własnej uczelni”.

Były i inne paradoksy, poza Polską chyba trudne do wytłumaczenia. Jak choćby ten, że po 1956 r. w wspomnianym BAK-u, już jako wolnej spółdzielni, pracowało wielu byłych więźniów, a dyrektorem handlowym tejże spółdzielni był były nadzorca w więziennym BAK-u — emerytowany kpt. UB. Stosunki byłych więźniów i byłego ich nadzorcy układały się dobrze<sup>5</sup>.

Położenie pisarzy i szczególnie publicystów było trudniejsze; nie publikujący musieli zarabiać dorywczo lub jeśli i takich możliwości nie mieli, wykonywali prace w ogóle z zawodem nie związane (Herbert, częściowo Malewska i Tyrmand).

Strach niewątpliwie działał, lecz niekoniecznie przed policyjnymi represjami, a w przypadku młodzieży — często nawet nie przed ewentualną utratą szans na materialne urządzenie się, bo młodzi żyli na ogół skromnie, w pogardzie dla „dóbr mieszczańskich”, które wyśmiewali i chcieli tępić<sup>6</sup>. „Wtedy, za czasów stalinowskich — powie Jacek Bocheński — ulegałem, jakkolwiek paradoksalnie może to brzmieć, nie ze strachu”<sup>7</sup>. Natomiast wśród części uznanych i uprzywilejowanych pisarzy mógł rzeczywiście działać osobliwy strach - jak to w 1985 r. sarkastycznie zauważał Zbigniew Herbert - by nie wypaść z gry, „nie zlecieć w ten okropny dół, gdzie żyło realne społeczeństwo”, by nie utracić towarzyskich kontaktów, stoliczka w PIW-ie, stoliczka w Czytelniku, dużych nakładów i ceremonii podpisywania książek, kwiatka i wieczorów autorskich<sup>8</sup>.

Jeszcze w lutym 1947 r., podczas pierwszego zebrania Pen-Clubu z udziałem samych sławnych „przedwojennych” nazwisk, Marię Dąbrowską zdumiewały martwe, puste oczy zebranych, doskonała służbistość wstająca w głębokim milczeniu przy wejściu dygnitarza, radosne poczucie zupełnej sytości psychicznej i fizycznej, bezmiar fałszu i kozłów psychicznych i politycznych. „I to te wszystkie usta — oburzała się Dąbrowska - śmiały pochlebiać so-

bie, że mają wyśpiewać czy wyśpiewają epos i ethos narodu! (...)”. być może odczucie Dąbrowskiej było zbyt surowe, bo mogła ona osądzać zachowania zgromadzonych kolegów z pozycji własnej krzywdy, tym boleśniej odczuwanej, że przed publicznymi atakami Władzy środowisko jej wtedy nie broniło. Ale już choćby z racji, że taka obrona nie miała miejsca, trudno by było odmówić słowom Dąbrowskiej siły argumentu<sup>9</sup>.

Później na zagrożenie, które miały tłumaczyć naganne zachowania, najłatwiej powoływali się niektórzy tych zagrożeń pośredni współtwórcy.

Taka osobliwa, skrajnie subiektywna miara strachu uderza na przykład w autointerpretacji zachowań Jana Kotta, który po latach wspominał: „Głosiliśmy oczywiście wszyscy i chóralnie realizm. Ale jaki realizm? Każdy z nas już chyba wtedy dobrze wiedział, chociaż sam do siebie nigdy by tego głośno nawet w nocy nie powiedział, że realizm socjalistyczny i zdánowszczyzna są śmiercią. Jak do niego prowadzić, bo przecież prowadziliśmy do niego, ale tak, żeby się z niego wysupłać. Jak wkładać głowę w stryczek i jeszcze innych do tego namawiać, ale tak, żeby się nie zacisnął. Tę grę z diabłem podwójnego myślenia, jak nikt inny ani przedtem, ani potem ukazał Miłosz w *Zniewolonym umyśle*. Myślę teraz, że już chyba wtedy budząc się rano przy L. miałem chwile jasności. Ale miały szybko jak sen z poczuciem winy, o którym zapomina się na jawie”<sup>10</sup>. Podobnie Kazimierz Brandys. Wątpliwości czuł on od samego początku, „a im wyraźniej je czułem - zwierzy się Brandys w 1980 r., tym silniej je w sobie zagłuszałem, tym głośniejsze im przeczyłem”<sup>11</sup>.

Politycznych neofitów mogła paraliżować niepewność, że — w odróżnieniu od Władzy — nie rozumieją..., że nie dorastają do zadań nowej epoki<sup>12</sup>.

„Wyznaję — pisał Tuwim w 1948 r. — że jako poeta nie dorosłem do wysokości odbywających się zdarzeń (...) Nie mogłem nadażyć, nie mogłem przewyższyć”. Teraz - zapewnił poeta — chcę „włączyć się w nurt”<sup>13</sup>.

Przypomnijmy, że świat polityczny rozwarstwił się wyjątkowo ostro, skupiając się na dwóch przeciwstawnych, wrogich sobie biegunach. W tej sytuacji płynące z kół intelektualnych w stronę Władzy krytyczne sygnały, choćby tylko w postaci „milczenia”, natychmiast na antypodach były nagłaśniane (również przez zachodnie radiostacje) i wykorzystywane dla wzmacniania własnych atutów. Władza zatem mogła dość skutecznie szantażować ludzi myślących i wątpiących sławetnym zawołaniem: A co, może Polska Ludowa Wam się nie podoba? Równocześnie mogło być dość dużo twórców, którzy z dwojga złego, jeśli już musieli wybierać, woleli jednak stawiać nowy ład. W kręgach tzw. poputczyków z przekonania, spontanicznie, mogły rodzić się przestrogi nawołujące do powściągnięcia krytyk albo i już samych zastrzeżeń.

Dzięki „Gusłom” nie tylko na domyśle jesteście zdani. W pierwszym liście (napisanym przez Witolda Kulę w połowie 1947 r.) typowy poputczyk Lucjusz pisał do bardziej krnąbrnego Klaudiusza: „W wypadku konfliktu wielkich wartości prawda czy sprawiedliwość jest ważniejsza? I Ty, i ja wiemy, że sprawiedliwość. Zżymasz się, że dążenie do sprawiedliwości nie musi naruszać prawdy. Ale jak to udowodnisz?

Wy tłumacz (...) Dlaczego w praktyce tylko prawowierni chrześcijanie walczą o prawa sprawiedliwych i obciążonych (...)?

Nie wiemy, z czego wynika prawda chrześcijan. A chwilowo strzeżmy się, byśmy się nie stali... katarynkami nakręcanymi przez obce ręce. Znamy przecież tak dobrze ten mechanizm! Szlachetni ludzie, którzy godzą się na wszystkie reformy, wprowadzane w Imperium przez chrześcijan, a bronią „tylko” tego czy innego imponderabile nie rozumiejąc, że w ten sposób spełniają rolę zwalczających reformy! (...)

Trzeba [chrześcijan — H. S.] zostawić ich wierze — a w ich dziele na ziemi nieść impo-  
moc według swych najlepszych sił<sup>14</sup>.

Zastanawiały, albo i trwożyły pytania Józefa Chałasińskiego, które od początku 1946 r. w wielu środowiskach inteligentkich namiętnie dyskutowano: czy intelektualiści, zamiast duchowego przywództwa i budowania nowoczesnego narodu, nie zostaną przezeń jako leż-  
użyteczni wyrzuceni poza nawias polskiej historii. Przecistawianie się nowej Wiekiej  
Wierze istotnie kojarzyć się mogło intelektualistom z ryzykiem społecznej samoizolacji

Historyczne ślady Wielkiego Strachu najbardziej wyraziście zdają się odzwierciedlać  
wspomnienia Jana J. Szczepańskiego. Przytoczmy z nich fragment. W 1989 r. Szczepański  
pisał:

„Po około trzech latach względnej swobody, manifestującej się między innymi otwartą  
polemiką światopoglądową między katolikami a marksistami — zwłaszcza na łamach »Kuz-  
nicy« i »Tygodnika Powszechnego« — ruszyła wielka ideologiczna ofensywa (...)»

W tym czasie Związek Literatów Polskich był sprawnym narzędziem w ręku Władzy -  
tym sprawniejszym, że Władza ówczesna potrafiła być hojna dla posłusznych pisarzy.

Grubym uproszczeniem byłoby wszakże tłumaczenie sukcesu ideologów jedynie sprze-  
dajnością literatury. Wśród licznych pisarzy, którzy deklarowali się ochoczo jako pretria-  
nie reżimu, nie zabrakło nazwisk szacownych i autentycznych talentów. Wielu z tych ludzi,  
drczonych inteligentkim kompleksem ułatwionego życiowego startu i niezasłużonego  
przywileju, zgłaszało swój akces do nowej wiary, dając pełny kredyt oficjalnej frazeologii  
sprawiedliwości społecznej lub nie mogąc przewyciężyć strachu przed izolacją i beży-  
tecznością w masowym plebejskim społeczeństwie nowego typu. Podporządkowanie się su-  
rowym dyrektywom, wraz z kanonami «sorealizmu» (który na ogół nie wzbudzał w nim  
entuzjazmu), miało w wielu wypadkach charakter heroicznej ofiary z własnych upodobań  
i nawyków, składanej na ołtarzu Słusznej Sprawy (...)

W rzeczywistości były to czasy groźne. Czasy wewnętrznych dramatów, upokożeń  
i strachu. Fizyczne represje w stosunku do pisarzy zdarzały się wprawdzie bardzo rzadko ale  
atmosfera osaczenia i przymusu bywała trudniejsza do zniesienia niż bezpośrednia prze-  
moc<sup>15</sup>.

Czy od dręczących obaw i dylematów, które tak precyzyjnie odsłania Szczepański, vol-  
ni byli ci intelektualiści, często pochodzenia żydowskiego, którzy już w 1945 rok wchodzi-  
li z opinią ludzi lewicy? Ewentualność prześladowań administracyjnych za działalność ite-  
racką czy naukową w ogóle ich nie dotyczyła. „Pistolet przy skroni”, jak to formułowała  
Hanna Malewska, politycznym wybrańcom rzeczywiście nie groził. Niemniej, paradoksal-  
nie, Wielki Strach i wielka przegrana i im właśnie łatwo mogły się przydarzyć. Bez uwzględ-  
nienia tego faktu, trudno zrozumieć postawę lewicujących intelektualistów.

Lewicowców represjonowanych za swe poglądy w okresie międzywojnia, szczególnie  
tych, którzy dla idei porzucili zamożne domy rodzinne, a wraz z nimi wygody i przyjemno-  
ści ludzi bogatych<sup>16</sup>, mogło przerażać najmniejsze choćby podejrzenie, że popełnili błąd —  
w tym wypadku błąd na miarę zmarnowanego życia. Tylko w wyobrazeniach idealisty ich  
życie dowodziło tego, że istnieje także bieda z wyboru, że taki wybór daje ludzi pięknych,  
że tacy ludzie nie powinni być zwalczani, że takich ludzi portrety powinny wisieć wszędzie,  
gdyż - jak pisał w 1981 r. Adolf Rudnicki — cel takich ludzi jest wysoki, ich słońce stoi wy-  
soko, ich wzór służy wszystkim<sup>17</sup>. Oni, łamiąc własny los w nadziei ulżenia w ten sposób in-  
nym, w odróżnieniu od świętych Kościoła nawet na pozaziemską satysfakcję nie mogli li-  
czyć. Oni o tym wiedzieli. I dlatego, m.in., ewentualność przekreślenia własnego życia

dostatecznie mocno przerażała, by wytyczać sposób postępowania. Nie byli w stanie wyrzec się pozostałych im wartości życia godnego w ogóle, a lojalnego wobec partii, jako im najdroższej grupy odniesienia<sup>18</sup>. W tym kontekście łatwiej wyjaśnić pozorny paradoks, że ludzie, którym w Drugiej Rzeczypospolitej nie było straszne wieloletnie więzienie, tracili pewność siebie i swych racji już w obliczu pogroźek ze strony podrzędnych funkcjonariuszy partyjnych. Oni najpewniej lękali się nie tyle groźących rozmówców partyjnych, ile samych siebie - własnej wewnętrznej niepewności<sup>19</sup>.

Właśnie starsi intelektualiści o lewicujących życiorysach — choć i innych, szczególnie części „pryszczatych” to mogło dotyczyć — w informacjach szukali trwożliwie politycznego samopotwierzenia się. Jeśli z ich wewnętrznym nastawieniem nie zgadzały się fakty, samoobronnie stosowali się do zasady: tym gorzej dla faktów. Nieprzypadkowo nie wnikali w antypolskie aspekty działań ZSRR, unikali choćby i kameralnych rozmów o zbrodniczych praktykach stalinizmu. Równocześnie byli otwarci na eksponowanie i wyolbrzymianie ciemnych kart polskiego międzywojnia i wszelkich zdarzeń, na których tle rzeczywistość powojenna przedstawiać by się mogła jako zbawienny postęp. Pocięzali się desperacko, jeszcze po 1948 r., że polskie stosunki i obyczaje uda się urządzić na specyficzny sposób, że w Polsce nie powtórzą się złe doświadczenia radzieckie<sup>20</sup>. Łatwo, może podświadomie, zamykali się w środowiskowym getcie, by uspokajać się rzeczywistością chcianą, zastępczą.

Działal Strach, zapisany wielką literą, bo był to strach nie w potocznym znaczeniu, lecz strach przed Historią, przed sprzeniewierzeniem się ideologiczno-moralnym pryncypiom (imperatyw sprawiedliwości społecznej) przed społeczno-obywatelską samoizolacją.

Na marginesie uwaga. Dylematy ludzi myślących i społecznie wrażliwych nie przechodziły do historii wraz z apogeeum stalinizmu. Nie opuszczały one nawet wielu osób przez partię odrzniętych i sponiewieranych moralnie. Na przykład Władysława Bienkowskiego który, jako jedyny w połowie 1948 r. wystąpił publicznie w obronie racji i osoby Władysława Gomułki, a w dziesięć lat później został przez tegoż Gomułkę pozbawiony stanowisk i następnie możliwości drukowania w kraju swoich prac. Publikował więc Bienkowski za granicą, ale równocześnie jeden egzemplarz maszynopisów zawsze przysyłał kierownictwu partyjnemu z prośbą o wykorzystanie. Tkwił przy tym w szeregach PZPR, nim go z nich nie wyrzucono (w maju 1970 r.). I to zresztą niczego nie zmieniło, Bienkowski bowiem chciał i krytykować, i pomagać oraz — co ważniejsze — nie miał wewnętrznej pewności, czy postępuje słusznie, czy nie za daleko idzie jego krytyka. Nie radził sobie — według własnych słów z listu do Mieczysława F. Rakowskiego z 9 stycznia 1977 r. — z wyjaśnieniem własnej tożsamości. Bezskutecznie usiłował znaleźć jakieś kryteria dla własnego zaszeregowania - czy jest za czy przeciw, czy to, co „zdarza [mu] się pisać, jest pożyteczne czy szkodliwe, zgodne czy niezgodne z interesem państwa i narodu”<sup>21</sup>.

Skąd taka postawa? Trudno o pełniejszą odpowiedź. Niemniej już z następnego listu do M. Rakowskiego (z 29 listopada 1990 r.) zdaje się wynikać, że autor - inaczej niż w stosunku do partii jako instytucji i jej aparatu - również albo i szczególnie po upadku realnego socjalizmu zachowywał iście Conradowską wierność dla socjalistycznych ideałów swej młodości i dla ideowych, porządných ludzi.

W okresie tryumfującego antykomunizmu Bienkowski, jakby weryfikując swój życiorys, kończył list znamienym wyznaniem: „Kiedy wysoka komisja oznajmiła mi swoją decyzję [o wykluczeniu z PZPR — H. S.], powiedziałam na wpuł do siebie, ale bliżej siedzący zapewne usłyszeli: kto tu kogo powinien wyrzucić”<sup>22</sup>. Takich skomplikowanych biografii, zamocowanych w okresie sprzed 1956 r., było wiele.

Raczej należy pogodzić się z poglądem, iż apogeum stalinizmu to klęska ludzi, którzy hołdowali przed wojną wartościom lewicowym i liberalno-demokratycznym. Bliski prawdy wydaje się Marian Brandys, kiedy z perspektywy 1985 r. twierdził, że po wojnie zdarzyła się tragedia „tych lewicujących liberałów polskich, którzy byli wychowani na felietonach Słonimskiego i Boya Żeleńskiego, i pięknie sobie wyobrażali postęp ludzkości, oparty na zasadniczych reformach społecznych i rozumnych stosunkach między ludźmi i narodami”<sup>23</sup>.

<sup>1</sup> W rezultacie interwencji ZG ZLP i A. Słonimskiego osobiście, w 1957 r. zostały formalnie umorzona śledztwa bezpodstawnie więzionych w czasach stalinowskich: Jerzego Brauna, Tadeusza Kudlińskiego, Antoniego Madeja i Janusza T. Dybowskiego. W *Przewodniku Encyklopedycznym Literatura Polska* z 1984 r. znajdujemy biogram tylko Jerzego Brauna. Wynikałoby z tego, że trzem pozostałym osobom Komitet Redakcyjny *Przewodnika* (pod przewodnictwem Juliana Krzyżanowskiego, od 1976 r. Czesława Hernasa) miana pisarza nie przyznawał (K. Woźniakowski, *Między ubezwłasnowolnieniem a opozycją...*, Kraków 1990, s. 109).

<sup>2</sup> W Warszawie głośna była sprawa prof. kontraktowego fizyki na Politechnice Warszawskiej Franciszka Zienkowskiego, którego w 1952 r. zwolniono wskutek posądzeń ze strony ZMP o wrogość do ustroju. W 1956 r. zrehabilitowano go, przyznając mu pełne wynagrodzenie za czas pozbawienia pracy i prawo do powrotu na poprzednie stanowisko. M. Dąbrowska, *Dzienniki*, t. 4, Warszawa 1988, s. 325 (przypis T. Drewnowskiego).

<sup>3</sup> Specjalizujący się w temacie Piotr Hübner podawał (doliczył się?) 11 nazwisk (*Nowa nauka i ludzie systemu*, w: *Stalinizm*, red. J. Kurczewski, Warszawa 1989, s. 176–177).

<sup>4</sup> Konrad Górski, na przykład, cały okres przymusowego „beztęminatowego urlopu od wykładów i ćwiczeń” na Uniwersytecie Toruńskim (dokąd przybył z Wilna) mógł poświęcić „intensywnej pracy naukowej”. W latach „urlopu” (1950–II 1957), co dwa tygodnie prowadził zajęcia seminaryjne z pracownikami zorganizowanego przez S. Żółkiewskiego Instytutu Badań Literackich z zakresu edytorstwa naukowego. W PWN wydał książkę: *Sztuka edytorska*. Zajął się tekstologią, dyscypliną dążącą do ustalenia tekstu jako wytworu językowego zgodnego z intencją twórczą autora. Zajął się też przywróceniem pierwotnej interpunkcji w dziełach Mickiewicza (przy ich wydaniu zbiorowym). K. Górski, *Autobiografia naukowa*, w: *Uczeni polscy o sobie*, t. I, MAW, Warszawa 1988, s. 301–303.

W latach 1945–1949 Władysław Tatariewicz dojeżdżał z wykładami z Krakowa do Warszawy. Latem 1949, pozostawiając mu profesorskie pobory, wykład nakazano przerwać. Równocześnie zakazano sprzedaży ostatniego tomu *Historii filozofii*. Stan taki trwał do października 1956 r. Zwrócił się bardziej zdecydowanie ku historii; może była to ucieczka przed obowiązkiem wypowiadania własnych poglądów. Ale nie tylko. Nie żałuje filozof zmodyfikowania zainteresowań, bo mając wolny czas zdołał wiele zdziałać. Teresa i Władysław Tatariewiczowie, *Wspomnienia*, Warszawa 1979, s. 84–85, oraz W. Tatariewicz, *Zapiski do autobiografii*, w: *Uczeni polscy...*, s. 67, 96.

<sup>5</sup> J. Podoski, *Zbyt ciekawe czasy*, Warszawa 1991, s. 263, 267, 268 i nast. Zob. też: J. Ernst, *Dwie linie życia*, t. 2, Lublin 1988.

<sup>6</sup> Młodzi, zbuntowani przeciw ojcom i przeszłości, ku ucieście starszych próbowali tworzyć nowy „antymieszczanski” styl także w sposobie bycia i ubierania się. Chyba wiernie, choć żartobliwie, przedstawił to Zygmunt Kałużyński, wspominając: „Zaś w latach pięćdziesiątych «pryszczaci» (młodzi literaci rewolucyjni, Borowski, Konwicki, Bratny) wprowadzili brodę dwudniową nie goloną, akcent kresowy zaciągający oraz kurtkę jakby ceratową, typu „marynarz z Kronsztadu”, zawsze szeroko rozpiętą (pod spodem brudny sweter, może być z dziurą, niewykluczone, że od kuli).

Słonimski nazywał ten rodzaj wzgardliwie «bolszewik motocyklista», sam zaś nosił się nadal jak przed wojną. Głośne były jego kłótnie z pryszczatymi, które trwały do późnej nocy, po czym Słonimski żegnał się: «Panom to dobrze, położycie się teraz». A pan nie?... Ja muszę się przedtem rozebrać - co stanowiło aluzję, że jego rozmówcy wchodzą pod kołdrę w butach”. Z. Kałużyński, *Paszkwil na samego siebie*, Warszawa 1988, s. 19.

<sup>7</sup> Zob. wypowiedź Jacka Bocheńskiego w: *Hańba domowa*, Lublin 1990, s. 170, 180. To samo stwierdzał W. Wirpsza, *Polaku, kim jesteś*, Warszawa 1978, s. 85 i J. Karpiński, *Portrety lat. Polska w odcinkach 1944–1988*, Warszawa 1989, s. 6.

<sup>8</sup> Z. Herbert, w: *Hańba domowa*, s. 194.

<sup>9</sup> M. Dąbrowska, *Dzienniki 1945–1950*, Warszawa 1988, s. 60–61.

<sup>10</sup> J. Kott, *Przyczynek do biografii*, Londyn 1990, s. 126.

<sup>11</sup> K. Brandys, *Miesiące*, Warszawa 1980 (wyd. NOWA), s. 107.

<sup>12</sup> Dawał temu wyraz Marian Brandys w rozmowie z Jackiem Trznadlem. Typowo neofickie postawy wiązano najczęściej z nazwiskami Andrzejewskiego i Borowskiego. Zapewne mając na myśli Andrzejewskiego, J. Putrament wspominał: „I u niego, jak u Borowskiego, czuło się groźną - bo niepostrzebną partii — skłonność składania jej w ofierze własnego talentu. Próbowałem mu to jakoś tłumaczyć. Ale był w nastroju apostołicznym i moje namowy do zmniejszenia zapału rewolucyjnego — jeśli ma płać kosztownością — przyjmował wręcz podejrzliwie. J. Putrament, *Pół wieku — literaci*, Warszawa 1986, s. 84.

<sup>13</sup> Podaję za: A. Sandauer, *Poeci trzech pokoleń*, wyd. 4, Warszawa 1973, s. 102. Por. potwierdzającą wypowiedź J. Iwaszkiewicza (*Książka moich wspomnień*, wyd. 4, Kraków-Wrocław 1989, s. 394, 401).

<sup>14</sup> W. Kula, *Rozważania o historii*, Warszawa 1957, s. 238–241.

<sup>15</sup> J. J. Szczepański, *Kadencja*, Warszawa 1989, s. 8. Taką samą opinię formułowała w 1947 r. M. Dąbrowska (*Dzienniki 1945–1950...*, s. 55, 85).

<sup>16</sup> Nie wiemy, jaki odsetek rewolucyjnych działaczy pochodził z majątnych rodzin żydowskich. Że tacy byli, to pewne, a wśród nich: Franciszek Fiedler z bankierskiej rodziny Truskierów, siostra Marka Eigera (poety, tłumacza), współspadkobierczynie wielkiej fortuny w przemyśle cementowym, Planerowa z hrabiowskiej, niemiecko-żydowskiej rodziny, Janka Wieseltier, żona W. Kolskiego, z zamożnego ziemiańskiego domu. W odczuciu Miłosza, z mieszczańskich zamożnych rodzin rekrutowała się „znaczna liczba, jeżeli nie większość, komunistycznych przywódców” (*Rodzinną Europą*, Warszawa 1990, s. 213).

<sup>17</sup> A. Rudnicki, *Rogaty Warszawiak*, Kraków 1981, s. 110–111.

<sup>18</sup> A. Wat jeszcze w 1937 r., w okresie moskiewskich procesów, na pytanie, czy to nieprawda, otrzymał taką odpowiedź rozmówców — ważnych komunistów i przyjaciół: „Tak, to prawda, ale nie możemy odejść, to jest cała nasza młodość”. A ta młodość — komentował Wat - była jakimś szczytem, jakąś bezinteresownością, jakąś piękną drogą życia (*Mój wiek*, Warszawa 1990, s. 65–66). Zob. też: J. Strykowski, *Ocalony na wschodzie*, Warszawa 1991, s. 81.

<sup>19</sup> Przykład tego indywidualny, konkretny, można opisać na podstawie wspomnień Wata. Z pobudek społecznego posłannictwa Hempel zamienił zamożny dom rodzinny na tułaczkę i represje, szukał i znalazł sobie żonę — prostą robotnicę. Tenże Hempel, stalowy człowiek w więzieniu, wyzywająco odważny wobec władz sądowych i policji - wobec poleceń funkcjonariuszy KPP zachowywał się „tchórzliwie, załośnie”. A. Wat, *Mój wiek...*, s. 111. Inaczej, bardziej literacko niż historycznie, próbuje objaśniać sprawę Julian Strykowski; *Wielki strach...*, Warszawa 1991, s. 280 i nast.

<sup>20</sup> M.in. na podstawie rozmów z Janem Kotttem, 18 marca 1945 r. nie bez zdziwienia Hugo Steinhaus zapisał: „Objaw ciekawy, że wszyscy nasi tzw. komuniści po powrocie z Rosji przestrzegają przed uciśkiem ideologicznym i niewolą duchową, której skutki są podobno potworne” (*Wspomnienia i zapiski*, Londyn 1992, s. 298/299). Por. J. Strykowski, *Wielki strach*, s. 352. J. Kuroń, *Wiara i wina*, Warszawa 1990, s. 126. A. Schaff, *Pora na spowiedź*, Warszawa 1993, s. 108. Zjawisko to występowało również w innych krajach. Np. w komunistycznej, inteligentniejszej rodzinie Dienstbierów. „W środowisku moich rodziców — wspomina Jirzi Dienstbier — oczywiście wiedzano prawie wszystko o stalinizmie, ale wszyscy uważali, że jest to specyfika rosyjska. Po prostu, w Rosji jest już taka tradycja i dlatego tamtejszy komunizm ma inne parametry niż nasz. Do głowy im nie przyszło, że u nas może zaistnieć taki sam model”. *Jak zostać szczęśliwym zwycięzcą*, w: „Gazeta Wyborcza” 22 XII 1993.

<sup>21</sup> w: *Lata, listy, ludzie*, Warszawa 1993, s. 71.

<sup>22</sup> Tamże, s. 297.

<sup>23</sup> w: *Hańba domowa*, s. 227.